

panie Kluftinger. Nawet nie zauważyłam, kiedy mi upadły. – Znajoma śliczna Azjatka wpatrywała się w niego z promiennym uśmiechem i czekała na odpowiedź.

Pomału zaczynało mu świtać, że ma przed sobą nową dziewczynę Markusa. „Mówi po niemiecku absolutnie bez żadnego akcentu”, przemknęło mu przez głowę. Yumiko... Miki... A więc stąd to zdrobnienie. Dlaczego Markus niczego im nie zdradził? Nie stałby tu teraz jak jakiś pajac.

Dziewczyna straciła nieco rezon i Kluftinger zdał sobie sprawę, że wypada coś powiedzieć.

– Ja... tego, cóż, miło mi... a ja jestem ojcem... panno... – wybąkał speszony.

Policzki mu płonęły. Uświadomił sobie, że cała ta akcja na wieki stanie się hitem anegdot opowiadanych podczas rodzinnych uroczystości, gdy zaczyna brakować tematów i dla rozluźnienia atmosfery szuka się idioty, z którego można się pośmiać.

– Niech mi pan mówi Miki, jak wszyscy. – Jej nienaganna niemczyzna zabrzmiała po jego nieskładnej przemowie jak czysta drwina.

Ponieważ nadal stał jak słup soli, Erika wysunęła się do przodu i wyściskała dziewczynę jak najlepszą przyjaciółkę. Jego żona była znacznie bardziej otwarta i wylewna, a większość powiedziałyby wręcz, że serdeczniejsza niż on. To, że Miki jest Azjatką, najwyraźniej zupełnie jej nie speszyło, a jeśli nawet, niczego nie dała po sobie poznać. A może wiedziała już wcześniej, tylko to przemilczała? Przecież nie miał nic przeciwko cudzoziemcom. Broń Boże. Jakkolwiek był nieco powściągliwy wobec obcych kultur, uważał odmienne style życia za jak najbardziej interesujące i je szanował. Nawet od czasu do czasu oglądał w telewizji reportaże z innych krajów.

Ale jego zainteresowanie ograniczało się do roli obserwatora. Gdy tylko czuł się przymuszony – najczęściej przez własną żonę – do aktywnego udziału w życiu odmiennych kultur, zaczynała kiełkować w nim nieufność. Za każdym razem, gdy

Erika usiłowała przemycić do domu cudzoziemskie idee w formie zagranicznego jedzenia, egzotycznych owoców albo kaset do nauki jakiegoś języka, stawał okoniem.

– Chodź, idziemy! – Erika szarpnięciem za rękaw wyrwała go z zamyślenia.

Uświadomił sobie nagle, że nadal stoi w miejscu jak wryty, i poczuł zalewającą go kolejną falę gorąca.

– A dokąd? – zapytał ochrypłym głosem.

Powziął natychmiastowe postanowienie, że od tej pory będzie zachowywać się tak normalnie, jak to tylko możliwe, i niczego nie da po sobie poznać.

– Jak to dokąd, na zamek! – zaśmiała się.

– Wiecie co – rzucił spojrzenie w kierunku tłumów kłębiących się teraz wzdłuż ustawionych przy kasach barierek – coś mi się zdaje, że dziś damy sobie spokój. Popatrzcie tylko, co tam się dzieje. Znowu zleciały się te wszystkie japońce!

Niczym małe dziecko, które po upadku potrzebuje paru chwil, by zdać sobie sprawę z bólu, mózg Klufftingera również zatrzymał się na parę sekund, by przetworzyć wypowiedziane słowa. Zdjął go palący wstyd. Erika wpatrywała się w niego ze zgrozą, Markus mierzył go wzrokiem spod przymrużonych powiek – tylko Yumiko zaniósł się perlistym śmiechem.

– Racja – wykrztusiła, chichocząc. – Czasami mam wrażenie, że moi rodacy boją się, że ktoś im sprzątnie sprzed nosa zabytki, jeśli się nie pośpieszą. A te miliony zdjęć, które cykają! Zastanawiam się, kto w domu ogląda te wszystkie koszarne fotki.

Jego tętno się wyrównało. Okazuje się, że całkiem fajna z niej dziewczuszka. A to, co mówiła o swoich pobratymcach, cóż za podziwu godna samoocena. Był dokładnie tego samego zdania! Już chciał przyznać jej rację, ale uprzedził go syn.

– No tak, ale Niemcy za granicą wcale nie są lepsi. Wstają bladym świtem, żeby zająć leżak, a potem wylegują się, wystawiając do słońca białe brzuchy. Wszystko im jedno, czy są we Włoszech, Hiszpanii, czy w Turcji, a niewykluczone, że sami

nie wiedzą gdzie. Obiekty hotelowe i tak wszędzie wyglądają tak samo. A tradycyjna kuchnia to oczywiście tradycyjna kuchnia niemiecka. A więc: „bratwursty” i schabowe, a do picia jägermeister i warsteiner!

Erika, której wbudowany radar dysonansów wykrył kiełkujący konflikt na linii ojciec-syn, nie mając najmniejszej ochoty na to, by międzypokoleniowe właśnie zaburzyły przedświąteczną, rodzinną, pokojową atmosferę, wtrąciła się ze słowami:

– Wszędzie są czarne owce!

Mówiąc to, przyszpiliła wzrokiem małżonka. Każda próba zgłębienia tematu umocniłaby tylko znany matczyno-synowski sojusz, już Kluftinger dobrze to wiedział. Yumiko była najwyraźniej jedyną osobą, która nie miała mu za złe chybionej uwagi.

Z tego powodu poszedł na ustępstwo i oznajmił:

– Chciałem tylko powiedzieć, że musielibyśmy długo stać w kolejce i zmarnowalibyśmy cały dzień. Ale jeśli chcecie, to znaczy jeśli Miki...

– Dobrze już, dobrze, tatusiu. Miki i tak stwierdziła, że niekonieczne chce iść na zamek. Nie gustuje w romantycznych alpejskich krajobrazach. Chociaż jest Japonką, wyobraź sobie!

– To może pojedziemy nad Forggensee – zaproponował komisarz, szczerze zabiegając o uratowanie sytuacji i zademonstrowanie, jakim świetnym jest przewodnikiem.

Ku jego zaskoczeniu pomysł natychmiast został przyjęty z aprobatą. Dziesięć minut później siedzieli w jego starym pasasie i jechali w kierunku Füssen. Chwilę wcześniej dobrowolnie zaniósł do samochodu bagaż Yumiko, przekonany, że ów wielki akt niezwyklej kosmopolitycznej kurtuazji przysporzy mu parę punktów u małżonki. Ona jednak uznała to za coś oczywistego.

– Wiedziałaś?

– Hm?

– Wiedziałaś o tym, no... z tą Japonką?

Podkręcił radio i pochylił się ku żonie.

– Nie rozumiem. Czy co wiedziałam? – odparła głośno Erika. Markus i Yumiko podnieśli wzrok.

– Czy... eee... wiedzieliście, że po Forggensee pływa statek, chciałem spytać.

Markus i Erika ściągnęły brwi. Oczywiście, że wiedzieli.

– Otóż, Yumiko, Forggensee to jedno z najwspanialszych ze wszystkich alpejskich jezior – ciągnął z dumą. – Parę lat temu otwarto nad nim teatr muzyczny. Wystawiają tam tylko jedną jedyną sztukę, musical o królu Ludwiku. Teatr zbudowano specjalnie w tym celu. Fajnie, co?

Yumiko słuchała z uwagą.

– Powinnaś wiedzieć, że Bawaria miała niegdyś króla, który zasłynął jako budowniczy licznych zamków. Między innymi Neuschwanstein, notabene. Właśnie o tym królu traktuje przedstawienie. Zresztą nazywają go bajkowym królem.

Yumiko odparła z przejęciem:

– W takim razie z pewnością zainteresuje pana praca dyplomowa, którą napisał Frank, kolega Markusa. Zaraz, jaki miała temat? Ach tak: „Analiza faktów historycznych dotyczących króla Ludwika II Bawarskiego i ich historyczno-dramaturgiczna adaptacja sceniczna”. Zgadza się?

Markus przytaknął.

Kluftinger, wstrząśnięty, spojrzął na jej odbicie we wstecznym lusterku i rzucił po krótkiej przerwie:

– Tak, Markus, musisz mi kiedyś koniecznie pokazać tę pracę. Ta tematyka... już od jakiegoś czasu zaprzęta mi głowę.

Parę minut jechali w milczeniu. W końcu komisarz przerwał ciszę i wypalił:

– A tak w ogóle to bajkowym królem nazywają go dlatego, że wszystko, co budował, było przeładowane zdobieniami. Jak w bajce właśnie. Król nawet często tu bywał, nad Forggensee. I tam też zginął. Utonął w bardzo tajemniczych okolicznościach, a jedynym świadkiem jego śmierci był przyboczny lekarz, doktor Gulden. Nie wiadomo dokładnie, ale może i maczał w tym palce. – Coraz bardziej zapalał się do swej roli przewodnika.

– Nie Gulden, tylko Gudden, i nie Forggensee, tylko jezioro Starnberg. Forggensee jeszcze wtedy nie istniało. Ale reszta mniej więcej się zgadza, prawda, tatku?

– W końcu na coś ci się zdały te studia, nie? – mruknął w odpowiedzi.

– Czy Frank nie wspominał wczoraj, że ten lekarz też utonął? – zapytała ze szczerym zainteresowaniem Yumiko.

Kluftinger zaczął się pocić.

– Tak, to bardzo znana sprawa. W każdym razie jezioro jest bardzo romantyczne. Jak z obrazka. W lecie moglibyśmy przepłynąć się statkiem i raczyć się wspaniałym widokiem na królewskie zamki. Ale teraz zapewne jest zamrożone – nawijał bez opamiętania.

Samochód skręcił na parking przy przystani.

– ...prawdziwy klejnot... aha!

– Och, co za paskudztwo – powiedziała cicho Yumiko. – Co tu się stało?

W jej głosie brzmiała szczerza obawa, że właśnie odkryła średnich rozmiarów katastrofę ekologiczną. Markus ledwie mógł powstrzymać się od śmiechu, ale nie odzywał się ani słowem, obserwując z zaciekawieniem, jak ojciec wybrnie z tej sytuacji.

Przed nimi rozpościerała się ogromna, wyglądająca dość obrzydliwie, szarobura połać, upstrzona pojedynczymi skutymi cienkim lodem bajorkami.

– Krucafuks! Nie pomyślałem.

– To coś poważnego? – zapytała Yumiko.

W tym momencie Markus nie wytrzymał i palnął:

– Forggensee to jezioro zaporowe, z którego każdej zimy spuszczają wodę!

Wszyscy parsknęli śmiechem, tylko Kluftinger siedział za kierownicą czerwony jak burak i wpatrywał się w to, co latem było urokliwym jeziorkiem.

– W takim razie wracamy. W domu też jest ładnie – rzucił poirytowany i wycofał wóz.

Z każdym przejechanym kilometrem humor psuł mu się coraz bardziej. Odczuwał awersję do jałowych wypraw. Na myśl, ile zmarnował paliwa, nie mówiąc już o zużyciu samochodu...

Choć musiał przyznać, że ostatnio nawet trochę oszczędzał na paliwie, tankując tańszy ekodiesel. Wprawdzie sędziwy pasat nie miał nań homologacji, ale perspektywa, że wlewając do baku tańszą ropę, na dłuższą metę mógłby uszkodzić silnik, nie robiła na nim większego wrażenia, gdy pomyślał, że staruszek ma na karku ze dwadzieścia lat. W ogóle nie bardzo wierzył w czarne wizje spiskowej koalicji warsztatów, koncernów samochodowych, polityków, przemysłowców i szejków arabskich. Ostatecznie zwyciężał jeden argument: ropa z domieszką rze-paku była tańsza o dziesięć centów.

– Ejże, daj spokój, skoro już tu jesteśmy – próbowała ułagodzić go Erika – może się trochę przejdziemy. Albo wstąpimy do jakiejś miłej gospody. Moglibyśmy wjechać kolejką linową na Tegelberg.

– Nie, Yumiko ma lęk wysokości, więc to odpada – wtrącił Markus.

Kluftinger poczuł ulgę. Cztery bilety na kolejkę na Tegelberg i z powrotem to nie błahostka; w końcu Yumiko nie musi zaraz pierwszego dnia kosztować go tyle, ile policjant zarabia w ciągu całego tygodnia.

– Ale przecież upiekłeś ciasto. Nie ma sensu wstępować gdzieś po drodze. Przejedźmy się... nad Alatsee! – Z ulgą stwierdził, że właśnie wysunął propozycję mogącą zyskać poparcie większości.

Jazda nad malowniczo położone jezioro przebiegła bez większych incydentów – pominąwszy to, że Kluftinger pogonił wlokącego się przed nimi kierowcę suzuki słowami:

– Bujaj się tą durną ryżową skorupą!

Cisza, jaka zapadła w samochodzie po tym wybuchu, do tkliwie mu doskwierała, więc w celu odwrócenia uwagi zaczął wylewnie rozprawiać, jak dobrze zrobił, założywszy dziś, w taki ziąb, długie frotowe gatki. Potem podkręcił radio. Dzięki temu

nie dosłyszał, jak Markus, obejmując ramieniem dziewczynę, wyszeptał:

– Jeśli po wizycie u moich rodziców nie odejdziesz w stronę dal, to znaczy, że naprawdę mnie kochasz.



„Dość forsowny marsz”, zapowiadany przez Kluftingera w czasie jazdy, okazał się niespiesznym półgodzinnym spacerkiem wyasfaltowaną drogą przez las. Po drodze komisarz zapoznał Yumiko z zimowymi zagrożeniami w Alpach i ostrzegł, że o tej porze roku nie wolno lekceważyć nawet wyasfaltowanych szlaków po płaskim terenie. Yumiko nie dała po sobie poznać zadowolenia, gdy zasapawszy się przy lekkim podejściu, nie był w stanie kontynuować konwersacji.

– Wiecie co? A niech mi tam: po spacerze zapraszam na małe co nieco! – oznajmił wspaniałomyślnie, przy czym jego hojność wynikała głównie z tego, że lekkie ssanie w żołądku przerodziło się w ogromny głód.

Wskazał starą gospodę, której zarysy przeświecały przez nagie korony drzew za parkingiem nieopodal jeziora. Na miejscu musieli jednak stwierdzić, że z przekąski nici, bo restaurację otwierano dopiero o czternastej. Chcąc nie chcąc, postanowili przespacerować się jeszcze wokół jeziora.

Alatsee było malowniczo położone w niewielkiej kotlinie otoczonej ze wszystkich stron gęstym lasem. Na jego południowo-wschodnim krańcu nad wierzchołkami drzew wznosiła się majestatycznie góra o nazwie Säuling. Był wymarzony dzień na robienie kiczowatych, ale jednak imponujących fotek, jakie setkami można oglądać w reklamowych kalendarzach, rozdawanych za darmo w bankach, aptekach i na stacjach benzynowych. Małe alpejskie jezioro migotało w promieniejącym na bezchmurnym niebie słońcu.

Z gałęzi z rzadka prószły na nich mieniące się płatki. Pod nogami skrzypiał śnieg, powietrze było czyste i klarowne.

– Cudownie, prawda? I ani jednego turysty! – cieszył się Kluftinger.

Był tak dumny ze „swojego” Allgäu, że czasem aż się zżymał, iż ekscytuje się nim niczym jakiś przyjezdny. Puszył się, mogąc pochwalić się nim przed zagranicznym gościem.

– Ciekawe, czy będziemy mieli białe święta – zagażała Yumiko, oczarowana sielskimi widokami. Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła z przejęciem: – Oby tylko śnieg nie stopniał. U nas, w Japonii, w Boże Narodzenie nigdy nie ma śniegu.

Komisarz już wziął oddech, by obwieścić, że u nich białe święta należą do dobrego obyczaju, gdy zauważył, jak jej wzrok nieruchomieje, a ona sama okrągłymi oczami wpatruje się w coś przed nimi.

„No i guzik ją obchodzi, co mówię”, pomyślał ze złością. Już miał się odwrócić, gdy zauważył, że mocno zacisnęła w cienką kreseczkę i tak już wąskie usta. Jej twarz poszarzała. Potem zaczęła jej drżeć podbródek. Poczul na plecach ciarki – dziewczynę wyraźnie owładnęło paniczne przerażenie.

Powoli odwrócił się w kierunku, w którym utkwiała wzrok. Wykonując ów niespieszny ruch, zastanawiał się, co takiego mogło aż tak przerazić Yumiko, tutaj, pośrodku idylli nad górskim jeziorem w sercu Allgäu. Próbował przygotować się na to, co zaraz ukaże się jego oczom. Może martwa wiewiórka? Zdechła sarna? Coś podpowiadało mu jednak, że zgroza w brązowych oczach dziewczyny wynika z czegoś znacznie gorszego. A potem zobaczył to sam.

Zmroziło go w sekundę. Utkwił wzrok w jednym punkcie, tak jak Yumiko. Przełknął ślinę, zamknął na moment oczy, otworzył je – to, co widział, było realne. W odległości około dziesięciu metrów, zaledwie parę kroków od brzegu, leżał na śniegu człowiek. Tkwiał w obcisłym czarnym kombinezonie, leżąc na brzuchu z rozrzuconymi ramionami. Nie był zbyt okazałego wzrostu, ale sprawiał wrażenie dobrze zbudowanego. Głowę miał odwróconą tak, że nie było widać jego twarzy. Mokra ciemnoblond włosy kleiły mu się do czaszki. Ale uwagę ko-



misarza przykuł inny szczegół – w promieniu prawie dwóch metrów wokół młodego mężczyzny śnieg zabarwił się na ciemnoczerwono. Wyglądało na to, że leży w nieprawdopodobnie wielkiej kałuży krwi.

– O, kurde – wyszeptała Yumiko, wrywając Kluftingera z odrętwienia.

Obrócił się do niej i zasłonił sobą widok.

– Nie patrz tam – powiedział, ale ona przechyliła głowę i wyrzała zza niego.

Niezdarnie ujął ją za ramiona i odwrócił od makabrycznej sceny.

Dołączyli do nich Markus z Eriką.

– O, widzę, że dobrze się rozumie... – Markus urwał w pół słowa, otworzył usta i błyskawicznie zwrócił się do matki. – Nie, mam! Nie patrz tam!

Erika poznała po głosie, że nie żartuje, mimo to zaryzykowała jedno spojrzenie. Otworzyła usta, a jej oczy rozszerzyły się w niedowierzaniu. Zdjęta zgrozą położyła głowę na ramieniu syna i się wzdrygnęła.

Przez krótką chwilą wszyscy czworo stali bez ruchu. Z daleka wyglądali zapewne jak dwie zakochane pary spędzające piękny dzień na romantycznym spacerze. Dopiero po chwili, wypełnionej jedynie odgłosem ich przyspieszonych oddechów, Markus przerwał ciszę:

– Na litość boską, tatku, co tu się dzieje?

– Wracajcie na szlak. To nie są żarty!

Komisarz wziął się wreszcie w garść, pchnął Yumiko w ramiona syna i powoli zbliżył się do leżącego. Dopiero teraz spostrzegł, że czarne wdzianko było skafandrem płetwonurka.

Włos zjeżył mu się na karku, gdy obejrzał z bliska rozmiary czerwonej kałuży. Chłopak musiał dosłownie wykrwawić się na śmierć. Odwrócił się do Markusa, który mierzył go pytającym wzrokiem.

– On... – odchrząknął, zanim był w stanie ciągnąć dalej. – Nie żyje. Stracił tyle krwi i na tym mrozie...

Eriką wstrząsnął szloch. Kluffinger uświadomił sobie, że dla kobiet musiał to być niewyobrażalny szok. Jego syn, student psychologii specjalizujący się w psychiatrii sądowej i kryminalistyce, niejednokrotnie widywał już ludzkie zwłoki. Ale Erika i Yumiko? Podszedł do nich i wysapał:

– Markus, proszę, zabierz je stąd wreszcie. Eriko, uspokój się, to... – zastanowił się chwilę, jakie słowa mogłyby uczynić tę sytuację znośniejszą dla małżonki, ale nic mu nie przychodziło do głowy. – Wszystko będzie dobrze – wybąkał w końcu i jeszcze zanim wypowiedział to do końca, wiedział, jak absurdalnie zabrzmiało. Nic nie będzie dobrze.

W człowieku, który oglądał ludzkie zwłoki, w dodatku tak potwornie zmasakrowane, coś pękało. Sam to przeżywał nie raz. Nękały go obrazy powracające w najmniej spodziewanych momentach. Nie było przed nimi ucieczki. I stanowiły tylko małą część koszmaru. Nie chciał, żeby Erika doświadczyła tego samego. Tyle że teraz było już za późno.

Wyjął z kieszeni telefon, wstukał numer i przyłożył aparat do ucha. Usłyszawszy ciszę, popatrzył na wyświetlacz i zaklął:

– Krucafuks, brak zasięgu! Nigdy go nie ma, gdy potrzeba.  
– Wetknął komórkę z powrotem do kieszeni, zastanowił się chwilę, a potem spokojnie, ale ze stanowczością, którą Markus rzadko u niego słyszał, zaordynował: – Ty natychmiast pójdziesz z paniami do gospody i znajdziesz właściciela. Potem zadzwonisz do Kempten, poprosisz oficera dyżurnego i powiesz, żeby przysłał ekipę techników. Chcę, żeby przyjechał Willi Renn, o ile jest na miejscu, słyszysz?

Widząc, że Markus ani myśli się ruszyć, dorzucił:

– Migiem, jasne? Zamów paniom jakieś gorące napoje, bo pewnie nam się tu trochę zjeździe.

Markus w towarzystwie obu kobiet ruszył powoli z powrotem. Dopiero gdy wszyscy troje zniknęli mu z oczu, Kluffinger zbliżył się do denata. Został sam na sam ze zmarłym. Poczul na ramionach gęsią skórę. Przez moment rozważał nawet, czy nie pójść śladem pozostałych i nie zaczekać w gospodzie na przy-

bycie posiłków. Ale porzucił ten pomysł. Musiał zostać tutaj i dopilnować przynajmniej, żeby nikt się nie zbliżał. Poza tym to na nim spoczywała teraz odpowiedzialność za to, by nie zatrzeć śladów. Inaczej Willi nieźle da mu do wiwatu.

Willi! Komisarz zapragnął, żeby szef ekipy technicznej był już na miejscu. Obecna sytuacja stanowiła dla niego całkowite novum. Zazwyczaj przyjeżdżał na miejsce zbrodni ostatni, kiedy panował ożywiony ruch – migotały koguty radiowozów, krzżeli się technicy, dochodził gwar dziesiątków głosów – taką atmosferę znał z miejsca zdarzenia. A nie tę upiorną ciszę.

Fakt, wprawdzie nieustannie uskarżał się na zamieszanie, narzekał, że w takim bajzlu nie można się skupić, że to żadna praca w takich warunkach i że to nie knajpa. Ale dopiero teraz dotarło do niego, że właśnie te rytuały dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Pomagały zapanować nad chroniczną nietolerancją na zwłoki. Tu był sam. Nieruchome ciało obok dawało mu to odczuć dość wyraźnie.

Ostrożnie obrócił głowę w stronę denata. Mimo mrozu, który sprawiał, że wydychane powietrze otaczało jego twarz białym obłoczkiem pary, poczuł zalewającą go nieprzyjemną falę gorąca. Krew, która zafarbowwała śnieg na czerwono, musiała wysączyć się z jakiejś paskudnej rany. Poczuł podchodzące do gardła mdłości. Odwrócił się i zaczął pogwizdywać bez sensu, wpatrując się w zimowy pejzaż. Po kilku sekundach uświadomił sobie, jak niestosowne było jego zachowanie, i zacisnął usta.

„Krucafuks, jesteś funkcjonariuszem policji kryminalnej, weź się w garść”, złał się w duchu. Jakiż byłby wstyd, gdyby wszystkie pytania kolegów musiał zbyć słowami: „Nie wiem, nie przyglądałem się”.

Zbliżył się parę kroków do umarłego i dokładnie omiottił wzrokiem okolice. Rozsądek zwyciężył i zepchnął paraliżującą go fobię na dalszy plan.

– Co ci się przytrafiło? – zapytał półgłosem.

Starym zwyczajem komisarza było prowadzenie fikcyjnych rozmów na miejscu zdarzenia. „To mi pomaga zebrać myśli”, mawiał, zagadywany. Powędrował wzrokiem wzdłuż ciała w kierunku wody. Skafander połyskiwał w słońcu. Zauważył, że mężczyzna ani nie ma odpowiedniej maski, ani nigdzie nie leży butla z tlenem. Stłumił przekleństwo – tak ważne szczegóły powinny od razu rzucić mu się w oczy.

– No dobrze, więc chciałeś ponurkować. W środku zimy? Musiałeś mieć ku temu wyjątkowy powód. Coś mi się zdaje, że bez tlenu i maski z pewnością nie zszedłbyś pod wodę.

Najważniejszym pytaniem, które cisnęło mu się na usta, było, dlaczego mężczyzna stracił tyle krwi. W wodzie raczej nie doznał tak poważnej rany, w przeciwnym razie nie zdołałby wydostać się na brzeg. Ale gdyby został ranny na lądzie, do miejsca, gdzie leżał, musiałyby przecież prowadzić krwawe ślady. To znaczy: do miejsca zdarzenia musiały prowadzić jakiegokolwiek ślady, a przede wszystkim z niego wychodzić. Nurek musiał zatem wyłonić się bezpośrednio z jeziora, bo pośrodku dziewiczo białego śniegu widoczny był tylko zatrważająco wielki, czerwony krąg.

Zamknął oczy. I wtedy to zobaczył. To paradoksalne, ale działało, jak zawsze. Gdy zamykał powieki, w myślach pojawiał się obraz zdradzający zazwyczaj więcej niż to, co widział oczami. W swych wirtualnych wizjach mógł wyświetlać i usuwać dowolne przedmioty, przemieszczać je i ustawiać na nowo. Otworzył oczy. I rzeczywiście, nie mylił się, coś tam było. Ramiona mężczyzny leżały rozrzucone z dala od tułowia, a koniuszki palców lewej dłoni wystawały poza krwawy krąg. Właśnie tam, tuż przy dłoni, częściowo przez nią zasłonięty, widniał znak. Widział go teraz całkiem wyraźnie. Był wielkości talerza i odcinał się ciemną czerwienią od śniegu. Czy to litera? Rysunek? Symbol? Był pociągnięty drżącą kreską i wyglądał dziwnie archaicznie i tajemniczo, choć komisarz nie umiał powiedzieć dlaczego.

Prawa dłoń mężczyzny była wykręcona i sprawiała wrażenie złamanej albo wybitej. Jeśli był praworęczny, wyjaśniałoby to nieporadny rysunek. Ponadto przecież kontur powstał zapewne w agonii – okrąg z wychodzącymi zeń trzema liniami, zakrzywionymi na końcach.



Kluftinger wzdrygnął się na myśl, że ma przed oczami ostatnią wiadomość, jaką umierający pozostawił dla potomności. „Być może nawet klucz do... tego zajścia”, pomyślał. W tym wczesnym stadium nie chciał nazywać incydentu sprawą. Tylko co mógł oznaczać ten hieroglificzny motyw?

Jeśli wskazówka miała zaprowadzić ich do mordercy, musiał za wszelką cenę zabezpieczyć rysunek. Tylko jak? Nie chciał zmieniać pozycji denata. Przyszedł mu na myśl telefon. W miarę niedawno, na ostatnie urodziny, dostał od żony supernowoczesną komórkę. Nie żeby marzył o czymś takim – spekulował raczej, że dostanie w prezencie wkrętarkę akumulatorową. Małżonka argumentowała jednak, że po pierwsze, jego służbowa komórka, która, sądząc po gabarytach, musiała należeć do pierwszej generacji mobilnych aparatów, wypychała mu wszystkie spodnie i marynarki. Po drugie, jej bateria szybko się wyczerpywała, a zdaniem Eriki nie można było wykluczyć, że kiedyś, nie daj Boże, mąż znajdzie się w jakichś tarapatach i nie będzie mógł zadzwonić po pomoc. W ten sposób, z ciężkim sercem, musiał rozstać się ze staruszką i przyzwyczaić do mikroskopijnego aparatu z klapką, którego przyciski tak się miały do jego palców, jak bęben basowy, na którym grywał w wolnych chwilach, do kwartetu smyczkowego.

Tym razem upór żony okazał się niemal szczęśliwym trafem, ponieważ komórka miała na wyposażeniu aparat foto-

graficzny – a przynajmniej taka informacja widniała na opakowaniu. Wprawdzie do tej pory nie zabrał się jeszcze do lektury liczącej paręset stron instrukcji obsługi, ale to wynikało między innymi z jej druzgocącego wstępu. Aparat był japoński, a instrukcja zaczynała się słowami: „Piersi pozycia ON, dostanie gotowe słuchające muszle”. Pocieszał się jednak, że to nie może być aż tak trudne, zważywszy, że już małolaty potrafią obsługiwać takie zabawki.

Otworzył klapy i przyjrzał się dokładnie klawiaturze. Obok cyfr i liter widniała na niej cała masa miniaturowych symboli. Wcisnął jeden, przypominający nieco mały aparat fotograficzny. Komórka pisnęła dwukrotnie. Przyłożył ją do ucha i usłyszał głos:

– *You have forty seven new messages. Please check your mailbox.*

Zaklął, nie mogąc pojąć, dlaczego japońska komórka w Niemczech gada do niego po angielsku. Ale przynajmniej dowiedział się, że posiada pocztę głosową, w ciągu ostatnich trzech miesięcy nawet dość intensywnie użytkowaną przez dzwoniące do niego osoby. Trudno. Pal licha wiadomości. Ponowił próbę z innym przyciskiem i na małym ekranie rzeczywiście wyświetliły się słowa *Take a photo*, co nawet dla niego nie było trudne do zrozumienia.

– No proszę, działa – mruknął.

Nachylił się, wyprostowaną ręką wycelował aparat w miejsce ponad lewą dłońią denata, gdzie widniał rysunek, po czym nacisnął wyzwalacz. Rozległ się dźwięk przypominający kliknięcie migawki, następnie pokazała się mała klepsydra, a na koniec zdjęcie. Początkowo nic nie widział w padających na wyświetlacz promieniach słońca. Dopiero osłoniwszy go dłonią, rozpoznał szczegóły fotografii. Przedstawiała mężczyznę o poczerwieniałej jak burak twarzy, wygiętego pokraccznie z odgiętą od tułowia ręką. Stłumił przekleństwo, zwalczył przemożną chęć natychmiastowego cisnięcia telefonu do jeziora i ponowił próbę. Tym razem wycelował wprawdzie we właściwą stronę,

ale na ekranie pojawiła się tylko biała powierzchnia z rozma-  
zaną, czerwonawą plamą. Dał za wygraną, schował telefon i po-  
myślał chwilę. Potem przetrząsnął kieszenie i znalazł jeden  
z kelnerskich notesów, które Markus znosił do domu w ilo-  
ściach hurtowych, gdy w wakacje pracował dorywczo w bro-  
warze. Od tamtej pory karteluszki służyły mu jako brudnopis.  
Skoro nie wyszło ze zdjęciem, przerysuje symbol na kartkę, to  
powinno wystarczyć.

Przykucnął tak blisko plamy krwi, jak tylko się dało bez  
dotykania jej. Potem zniżył głowę, aż prawie dotknął czołem  
śniegu, by zajrzeć pod sinawą dłoń, zakrywającą fragment ry-  
sunku. W tej pozycji, bardziej leżąc niż stojąc, posapując ze  
świsem, zaczął kopiować znak do notesu. W niecałą minutę  
udało mu się sporządzić całkiem przyzwoity szkic. Brakowało  
tylko jednego rogu, ale najpierw musiał nieco zmienić pozycję  
i przysunąć głowę bliżej dłoni. Wiedział, że ta sytuacja będzie  
go jeszcze długo prześladować w koszmarach, bo nigdy przed-  
tem nie znalazł się tak blisko nieboszczyka. Zignorował te my-  
śli i skupił się na zadaniu.

W chwili, gdy przyłożył długopis do papieru, by dokończyć  
ostatni fragment, nastąpiło coś, co niemal przyprawiło go o za-  
wał serca – ręka się poruszyła!

Dłoń, drżąc, uniosła się nieco i musnęła jego twarz. Wrza-  
snął, cofnął się odruchowo i wylądował boleśnie na plecach,  
po czym nerwowo odczołgał się jeszcze parę metrów. Słyszał  
pulsowanie w uszach, gdy ciężko dysząc, leżał i wpatrywał  
się w denata. Jego umysł próbował zrozumieć, co się stało –  
zmarły się poruszył. Żył! Wykluczone. Żaden człowiek nie jest  
w stanie przeżyć takiej utraty krwi. A przecież właśnie drgnął.  
Może zgon nastąpił niedawno i umarły miał pośmiertne skur-  
cze mięśni? Słyszał o takim zjawisku. Pamiętał, jak przed laty  
chadzał z ojcem na ryby. Gdy przynosili do domu węgorze,  
byli świadkami szczególnego widowiska – ryby podrygiwały  
jeszcze podczas sprawiania i czyszczenia. Może z ludźmi było  
podobnie?

Chyba że coś mu się przywidziało? Ręka drgnęła ponownie. Tym razem nie tak gwałtownie, ale dość wyraźnie. Nie, nie ulegało wątpliwości – trup wcale nie był trupem!

Komisarz myślał gorączkowo, co robić. Musiał ratować mężczyznę, który, choć żył, to jednak znajdował się w krytycznym stanie. Nie miał pojęcia, jak długo leży już tu na mrozie. Zimno! Oczywiście, musiał chronić go przed wyziębieniem. Drżącymi palcami rozpiął wełnianą jesionkę, odwrócił rannego i zdumiał się, że to, co zobaczył, wcale nie jest tak makabryczne, jak się spodziewał. Piankowy skafander był na oko nienaruszony, nie miał żadnych pęknięć ani cięć, z których sączyłaby się krew. Przykrył leżącego paltem. Potem po raz pierwszy rzucił spojrzenie na jego twarz. Zobaczył młodego mężczyznę, na oko najwyżej trzydziestolatka – był kredowoblady, usta miał sine, a mokre włosy przylegały do kanciastej czaszki. Zastanowił się: zostać tu z nim, czy może raczej pospieszyć za synem i kobietami, by z gospody wezwać pogotowie?

– Na Boga, tatku, co tu się dzieje?

Zza zakrętu wyłonił się Markus. Był wstrząśnięty, czemu Kluftinger zupełnie się nie dziwił. Musiał posądzać go chyba o utratę zmysłów, przekonany wszak, że mężczyzna nad brzegiem jeziora jest martwy.

– On żyje! – zawołał w stronę syna.

– Co?

– Żyje. On nie jest martwy, jeszcze żyje.

Markus otaksował ojca badawczym spojrzeniem.

– Nie, nie zwariowałem. On żyje.

– Ale jak... no wiesz, tyle krwi...

– Nie mam pojęcia. Biegnij jak najszybciej z powrotem i wezwij pogotowie. Najlepiej, żeby przylecieli śmigłowcem. On długo nie pociągnie.

Markus obrócił się na pięcie i popędził do gospody.

Kluftinger znowu został sam. Ale tym razem sytuacja była diametralnie różna. Mężczyzna żył, a on musiał dopilnować, by tak zostało. Tyle że ostatni kurs pierwszej pomocy odbył